

Królewiacy

przez

Artura Gruszeckiego.

27)

— I czy godziło się zdać tak człowieka na poniewierkę? Jak tylko przyszedł od pana, już niem trzęsło. Kilka groszy, co mu pan dał, nie uratuje go, jemu trzeba opieki, wygody... a czy mnie stać na to? czy ja jego krewna? znajoma?

— Właśnie przyszedłem, aby się nim zaopiekować. Gdzie on?

Odsunęła garnki z ognia, otarła ręce o brudny fartuch i poprowadziła Romana przez sionkę do małej izdebki, wilgotnej, oświetlonej jednym okienkiem z brudnymi szybami. Wśród różnych gratów, połamanych łóżek, kawałków desek, stał pod ścianą tapczan z cienkim siennikiem, a na nim przykryty jakąś koldrą w łachmanach i paltotem leżał Tomasz z wypiekami na zapadniętych policzkach, z oczyma błyszczącymi gorączkowo. Poznał jednak Romana, bo na ustach zawiśł rodzaj uśmiechu i nieco się gładziło pomarszczone czoło.

— Co wam, Tomaszu?

— Kłuje w boku, ledwie dyszę, pewnie umrę.

— Tak źle nie będzie, — pocieszał go Roman, — przyjechałem was zabrać. W szpitalu będziecie mieli lepszą opiekę i wygodę.

— Co też pan mówi! — zawołała gospodyni, — niech Bóg broni do szpitala! umrze napewno. Lepiej go tu zostawić u mnie, a będzie pan płacił, znajdzie się opiekę i wygodę.

— Nie, proszę pani, — powiedział Roman stanowczo, — chory potrzebuje czystego powietrza, porady lekarskiej, opieki w nocy, a pani mimo dobrych chęci tego dać mu nie może.

— Ano, jeśli taka wola pańska, a chory się zgodzi na te męki szpitalne, to niech go pan bierze. A ja panu powiadam, że w szpitalu gorzej więzienia.

Mimo tej opozycji gospodyni, Roman pomógł Tomaszowi ubrać się i poprowadził go do dorozki, oczekującej przed domem.

Zajechali do szpitala, budynku obszernego, jednopiętrowego, z posępnym wyglądem.

Przyjął ich w sieniach portyer i spytał Romana obojętnie z miną poważną:

— Czy pan z chorym do szpitala?

— Jak pan widzi.

— Co jemu brakuje?

— Nie wiem, doktor powie.

— Idź pan do poczekalni, — wskazał na otwarte drzwi.

Roman, podtrzymując ślaniającego się Tomasza, wszedł do wąskiego przedpokoju, gdzie siedząc na ławach drewnianych czekali swej kolei chorzy. Twarze zmęczone, zbolale, miały wyraz głuchej obawy i niepokoju, i oczy wszystkich zwracały się na dalsze drzwi, przez które wychodzili chorzy po oględzinach lekarskich.

Przyszła wreszcie kolej na Tomasza i doktor zakwalifikował go do przyjęcia na oddział chorób wewnętrznych.

Mimo swego ciężkiego stanu, Tomasz musiał podać się porządkowi biurokratycznemu i złożyć zeznania przed protokulantem, który z miną dygnitarską spytał najprzód chorego, stojącego przed nim, o nazwisko.

Roman, widząc, że Tomasz gorączkuje, wyręczył go w odpowiedziach, a jakkolwiek w banalnych pytaniach urzędnika nie było nic przykrego, cała ta niewczesna indagacja męczyła chorego i drażniła Romana.

Ale i to minęło. Tomasz otrzymał kartkę, a Roman nie widząc żadnego posługacza, sam poprowadził chorego do portyera, który wskazał im drogę.

Przez wielkie drzwi weszli na otwartą galerję arkadową, z posadzką kamienną, a że dzień był chłodny i wietrzny, rozgorączkowany Tomasz dostał dreszczów i dygotał z zimna. Po schodach zeszli do jasnego kurytarza, ozdobionego obrazami świętymi i tu dopiero spotkał Roman jakiegoś posługacza, który zawiadomił dyżurującego doktora o przybyciu chorego.

Doktor, młody blondyn, z twarzą przemęczoną, przeczytał kartkę, wziętą od Tomasza i z miną niezadowoloną i skłopotaną zwrócił się do posługacza:

— Gdzie go pomieścimy?

— Nie wiem, panie doktorze, już i tak na sali jest przepełnienie. Niema miejsca.

Doktor, widząc dostatnio ubranego Romana, zwrócił się do niego:

— Czy nie mógłby pan umieścić chorego gdzieś indziej? Mamy za wiele chorych.

— Nie, panie, on jest tu obcy.

— Proszę pana, sala mieści dziesięćnaście łóżek, a mamy dwudziestu trzech chorych. Gdzie go podzielić?

— Nie znam Krakowa, panie doktorze, a jego mieszkanie, z którego przywiozłem go, jest zabójcze dla chorego.

— Idźcie do siostry Magdaleny, — rozporządził doktor posługaczowi, — trzeba przygotować siennik i pościel. Niech pan tu z chorym zaczeka, — zwrócił się do Romana.

— Panie doktorze, zanim łóżko przygotują, możeby chory wykapał się... leżał w takich brudach...

Doktor, który odchodził, przystanął i rzekł z goryczą:

— Widać, że pan obcy: u nas w szpitalu uznano kąpiel i łaźienki za rzecz zbytkowną i niepotrzebną.

— To niemożliwe.

— A jednak tak jest. Jeszcze ten pański chory, — patrzył na Tomasza, — jest względnie czysty, ma krótkie włosy, a iluż tu zjawia się chorych lepkich od brudu, owrzodzonych, zawszonych i niema sposobu wykapać ich. Zaledwie jest jeden cebrzyk na sali, w którym mogą oplukać ręce i oczy.

Doktor odszedł, a po chwili wysunęli się z dwóch sal przyległych rekonwalescenci, otuleni brudnymi, połatanymi, płóciennymi kapotami. Na białych, niemal przezroczystych twarzach odbiło się zaciekawienie i pilnie przypatrywali się nowemu choremu, rozmawiając z cicha ze sobą.

Z głębi kurytarza, z zakrętu, dały się słyszeć suwające kroki i w tej chwili rekonwalescenci rozstąpili się, umilkli i przybrali wyraz szacunku i oczekiwania. Ukazała się zakonnica w habicie, w wielkim białym czepcu na głowie, ze zwieszającym się od paska różańcem, spojrzała badawczo w kurytarz i z wolna się zbliżyła.

Wszyscy obecni podchodzili do przechodzącej i całowali z pokorną miną jej białą rękę, co ona przyjmowała ze stereotypowym uśmiechem dobroci, a gdy zbliżyła się do Romana, przystanąła i spytała tonem urzędowym:

— Czy to jest ten nowy chory?

— Tak jest.

Spojrzała na twarz Tomasza i rzekła:

— Czy katolik?

— Tak jest.

— Siennik zaraz przyniosą, — zapewniła i weszła do sali.

Po pewnym czasie przyszedł służący i zaprowadził Tomasza do sali, a na pytanie Romana:

— Czy mogę zobaczyć, jak będzie umieszczony? odpowiedział szorstko:

— Jutro, pomiędzy trzecią a czwartą.

Z uczuciem przygnębienia i smutku wychodził Roman ze szpitala i dopiero na ulicy poczuł ulgę, że umieścił Tomasza. Spojrzał na zegarek. Był to czas obiadowy u Stokłosów i mógł być pewnym, że go zastanie.

Przyszedł do nich w chwili, gdy służąca wniosła kawę czarną. Zaproszony do stołu opowiedział pokrótce spotkanie z Tomaszem, jego chorobę i umieszczenie w szpitalu. Wreszcie z pewnym niepokojem spytał Stokłosa:

— Czy mówił pan z panem Filarkiem?

— Właśnie mąż opowiadał mi o tem, gdy pan wchodził do nas. Sercowa sprawa pana znajduje się, jak mi się zdaje, na dobrej drodze.

— Nie uprzedzaj, niech pan Roman sam osądzi.

— Słucham.

— Pan Filarek nic nie ma do zarzucenia charakterowi i usposobieniu pana, chętnie oddałby córkę, jednak waha się.

— W czym? jak? — spytał żywo Roman.

— Jego zdaniem, pozycja materyalna pana nie jest dość pewna, a on chciałby widzieć córkę ubezpieczoną we wszelkich przypadkach.

— O cóż mu idzie?

— Mówił, że gdyby pan prowadził samodzielnie jakiś interes, lub był w rządowej fabryce, wreszcie w akcyjnej, byłby pewniejszy o przyszłość swojej córki.

— Ależ proszę pana, ja posiadam o wiele pewniejszą przyszłość, aniżeli człowiek pozostający w urzędzie, który zależny jest pod każdym względem od swoich przełożonych. Gdyby jaki urzędnik znalazł się w położeniu takim jak ja, wydalony z kraju, wyrwany ze stosunków normalnych, czy znalazłby jaką posadę, czy wyżywiłby rodzinę?

— Mówiłem mu o tem, panie Romanie, i zapewniałem go, że posada w banku lub fabryce jest równie dobra jak i pensja urzędnika, że wreszcie pan prędzej czy później dojdzie do własnego interesu.

— Coż on na to?

— Uznał wreszcie, że mam słusność, ale żąda jeszcze zwłoki, ażeby lepiej poznać finansowe zdolności pana.

Roman siedział chmurny i rzekł gniewnie:

— Zatem pan Filarek, krótko mówiąc, odmawia mi ręki swej córki.

— Nie bądźże pan tak gorące kapany, — zaśmiała się Stokłosowa, — pozwól pan ojcu być troskliwym o przyszłość córki. W zasadzie, pan Filarek nie jest panu przeciwny, wolno panu starać się o względy panny i posłuchaj pan mojej życzliwej rady.

— Jakiej?

— Niech się pan porozumie z Manią, ona sama nastroi ojca przychylnie i za jaki miesiąc, dwa, poprosi pan nas na wesele.

— Pójdę za radą pani... ale niech mi pan powie szczerze, — zwrócił się do Stokłosa, — czy poza tą białą wymówką o pewności pozycji nie kryje się co innego u pana Filarka?

— Prawdę mówiąc, mam tego starego w pewnem podejrzeniu. Butrinek wszedł panu w drogę. Prawda, że to starszy człowiek, wdowiec, ma dziecko, ale zdaje mi się, że panna mu sprzyja, bo coś jest zanadto pewny siebie.

Romanowi tak zabawnem wydało się to przypuszczenie, że zaśmiał się głośno mówiąc:

— Pod tym względem pan się myli, panna Marya czuje wprost antypatyę do niego, on ją nudzi, męczy swą rozmową i niemal odchorowuje ona każdą jego bytność, bo to gruby i głupi człowiek.

— Ona to panu mówiła? — spytał trochę zdziwiony.

— I ile razy! — uśmiechnął się Roman, — a ponieważ i ja go nie znoszę, z czem się na kryję, więc panna Marya zawsze mnie uprzedza o wizycie Batrinka, tak, że od pewnego czasu spotykamy się tylko wówczas, gdy jest liczniejsze zebranie u państwa Filarków.

— Mania i przedemną skarżyła się na pana Butrinka, — dodała Stokłosowa.

— No, no, to dziwne! — kręcił głową Stokłos. — Prawda, że ten Butrinek prochu nie wynalazł, ale żeby był tak głupi, nie myślałem.

— Albo co? — spytała żona.

— Spotkałem go przed kilku dniami na piwie w dość liczne towarzystwie i on, gdy zgadło się coś o małżeństwie, skarżył się, że od chwili pożrebu żony nie ma spokoju, tak go swatają i stręczają mu panny. Ktoś wspomniał, nie z nazwiska, ale jak to mówią: *durch die Blume*, o Filarkównych i jego staraniu się. Powiedział z uśmiechem, że dość, aby wyciągnął rękę, a za trzy tygodnie może być szczęśliwym mężem tej panny, ale on się nie spieszy.

— To bezczelna zarozumiałość! — zawołał zaczerwieniony Roman, — panna Marya nigdy nie pójdzie za tego umundurowanego bałwana.

— No, zapewne, pan wie o tem lepiej, — powiedział Stokłos obojętnie.

— Nietylko wiem, ale jestem tego pewny, bo słyszałem to z własnych ust panny Maryi. Dziękuje panu bardzo serdecznie za łaskawe pośrednictwo, — wstał i podał rękę gospodarzowi.

— Oby się tylko na co przydało.

— Panie Romanie, — powiedziała Stokłosowa, — niech pan posłucha mojej rady, nie spiesz się pan, bo co nagle, to po dyable. Niech się pan porozumie z Manią, postara się o względy cioci, a wszystko będzie jak najlepiej.

Roman, pewny wzajemności Mani, po rozmyśle przyjął zastrzeżenie jej ojca dość obojętnie, a dostrzegłszy na rynku Stasię i ciotkę, pospieszył do mieszkania Filarków, pragnąc rozmówić się z ukochaną sam na sam.

Zastał ją istotnie w domu i po pewnem wahaniu przyjął go w małym gabinecie, ubrana w szlafroczek jasny, z włosami niedbale upiętymi z powodu bólu głowy, który zatrzymał ją w domu.

— Tak mi się czas dłużył, tak dawno nie widziałem ciebie, — całował jej ręce.

— A dla mnie ten czas minął jak jedna chwila, bo myślałem tylko o tobie.

— Jesteś zachwycająca ze swoją szczerością... moja najmiłsza, czy był tu pan Butrinek?

Spojrzała mu w oczy i spytała oschle:

— Skąd to pytanie?

— Byłem dzisiaj u państwa Stokłosów w wiadomej ci sprawie.

— Czy on mówił z ojcem? — zaniepokoiła się.

— Tak jest, i ojciec twój stawia trudności w naszym połączeniu.

— Zapewne co do materyalnych warunków, ale ty wiesz Romciu, że mnie to nic, a nic nie obchodzi i nie lubię myśleć i mówić o takich niskich rze-